

Feliks Konarski: Czerwone maki na Monte Cassino

Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg twój się kryje jak szczur!
Musicie! Musicie! Musicie!
Za kark wziąć i strącić go z chmur!
I poszli szaleni, zażarci,
I poszli zabijać i mścić!
I poszli – jak zawsze uparci,
Jak zawsze – za honor się bić!

Czerwone maki na Monte Cassino,
Zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął
Lecz od śmierci silniejszy był gniew!
Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwiejsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi!

Runęli przez ogień straceńcy,
Nie jeden z nich dostał – i padł,
Jak ci z Somosierry szaleńcy,
Jak ci spod Rokitny sprzed lat.
Runęli impetem szalonym
I doszli. I udał się szturm.
I sztandar swój biało-czerwony
Zatknęli na gruzach wśród chmur!

Czy widzisz ten rząd białych krzyży?
To Polak z honorem brał ślub.
Idź naprzód – im dalej, im wyżej,
Tym więcej ich znajdziesz u stóp.
Ta ziemia do Polski należy,
Choć Polska daleko jest stąd,
Bo wolność krzyżami się mierzy,
Historia ten jeden ma błąd.

Ćwierć wieku, koledzy, za nami,
Bitewny ulotnił się pył
I klasztor białymi murami
Na nowo do nieba się wzbił.
Lecz pamięć tych nocy upiornych
I krwi, co przelała się tu –
Odzywa się w dzwonach klasztornych,
Grających poległym do snu!

(Ostatni ośmiowiersz został napisany w roku 1969-m w dwudziestą rocznicę bitwy o Monte Cassino.)

Feliks Konarski: Szli ...

Szli

Z twarzami szarymi jak popiół...

Z oczyma zapatrzonymi w przyszłość...

Każdy z nich bólem się opił...

Każdy cierpieniem nakarmił

Szli do Armii...

Z nogami owiniętymi w szmaty...

Pod niejednym ugięty się kolana,

Niejednemu zdrętwiały gnaty...

I zęby szczękały z mrozu...

W zawszonych łachmanach,

Szli...

Z odległych kotchozów,

I zatłoczonych ponurych miast,

Nie widząc słońca ani gwiazd,

Nie słysząc wichru złośliwego wycia,

Zmęczeni, głodni, bez życia –

Ale uparci, ale wierzący

W prawość Tej, której na imię Polska.

Szli

Do wojska!

Jeden za drugim, jeden za drugim

Szeregiem nie kończącym się, długim

Jak godziny męczarni,

Które za nimi zostały.

Szli

Do Armii!

Stłoczyli się przed budynkiem białym,

Jako stado spłoszonych zwierząt.

A każdy drżący, jak liść...

Czy mu uwierzą, że chce iść?

Że chce walczyć choćby z samym czartem!

To nic, że gnębi go cynga!

To nic, że płuca ma zżarte!

Ale zginąć potrafi, gdy trzeba!

A jednocześnie usta pobladłe

Szepcą:

„Może ma pan ... kawałek chleba...?
Już trzy dni nic nie jadłem ...”
Suchy, nie milknący kaszel!
I nagle okrzyk: „Patrzcie! Wojsko nasze!...”
Przemknął za drzwiami zielony mundur,
Tłum zakotłosał się, stłoczył,
Zabłyły zazdrością oczy,
Już wargi nie proszą o chleb...
Promień słońca nad głowami wystrzelił!
Cisza!
I w ciszy stłumiony szept:
„Boże ... żeby mnie tylko wzięli...”

Feliks Konarski: Warszawa

Warszawo! Wymawiam imię Twoje święte,
Tęsknotą serce drga
I w oczach błyszczą łzy ...
I widzę piękno Twe
Mgłą wspomnień przesłonięte,
I czuję znów jak pachną
Łazienkowskie bzy ...
Warszawo! Przychodzisz często do mnie
I płoszysz z powiek sen
I każesz tęsknić mi
I w myślach żyjesz wciąż –
I trudno mi zapomnieć,
Że byłeś kiedyś treścią
Mych najszczęśliwszych dni!
Krwawe łuny znów po nocach płoną,
Ziemia drży pod gradem bomb...
Spójrz na te gruzy ... spójrz i nie mów nic.
Tutaj kiedyś był twój dom ...
Przez sześćdziesiąt nocy złych,
Nie żałując krwi
Będziesz bronił zgliszczy tych!
Aż nadejdzie dzień
Gdy zrozumie świat
Za coś walczył, za coś padł.

Warszawo! Wymawiam Twoje imię święte
I w oczach błyszczą łzy,
I sercem targa ból ...
I widzę mury Twe
Krwia żywą przesiąknięte –
A w murach tych karabin,
W którym nie ma kul.
Warszawo! Twe wielkie serce w gruzach leży
A jednak bije wciąż
I wciąż ze śmierci drwi!
I każdy Polak wie
I każdy Polak wierzy,
Że TA, CO NIE ZGINĘŁA
Wyrośnie z Twojej krwi.

Feliks Konarski: Taka sobie Helenka

Taka sobie Helenka
W takim sobie mundurze,
W którym kołnierz odstaje
I rękawy za duże...
Taka sobie Helenka,
Ochotniczka pocieszna ...
Taka karykaturka
Wzruszająca i śmieszna.

Ach wojenko, wojenko,
Cóżeś to za pani,
Że ci służą nie tylko
Chłopcy ci malowani –
Ale i te dorodne
Malowane panienki,
Te pokraki – w rodzaju
Takiej sobie Helenki?

Przyszedł z Anglii dalekiej,
Gdzieś w Londynie zrobiony,
Taki sobie niezgrabny
Battle-dresik zielony ...
Podrzucili Alianci
Przez sowiecką granicę
Taką sobie niezgrabną
Szwejkowatą spódnicę.

Mundurowy w składnicy
Do kompletu wyiskał
Takie sobie niezgrabne
Chaplinowskie buciska,
Które wdziała na siebie
Taka sobie panienka –
I w ten sposób powstała
Ochotniczka Helenka.
Taki wojak w spódnicy,
Taki żołnierz z PE-ES-KA,
Z warkoczykiem sterczącym
Jak ogonek u pieska.

Patrząc na nią – nie poznasz,
Przyjacielu mój drogi,
Czy ma dwa prawe buty,
Czy ma dwie lewe nogi?
Czy na widok jej płakać ,
Czy śmiać się do rozpuku?
Co za wojsko przedziwne
Robią w tym Buzułuku?

Feliks Konarski: Kolęda uchodźcy

W stajence na sianie – narodził się Bóg
A żłóbek mu służy za tron.
Pasterze i króle padają do nóg
I dary mu znoszą z wszech stron!
Ten i ów daruje – co ma
Ten i ów Dziecinie coś da.
Wszak to cud czekany od lat!
W cichą noc raduje się świat...
A moja Wigilia zasnuła się łzą,
A ja tylko błędzę we mgle...
Pasterze i króle przy żłóbku już są,
I wszyscy z darami – prócz mnie!

Najmilsza Dziecino, coż dać-bym Ci mógł?
Czy łzy pogubione na skraju mych dróg?
Czy serca tęsknotę bezbrzeżną Ci dam?
Bo to mi zostało... To wszystko ... co mam!

Bo gdybym na świecie swój własny miał kąć
I własny nad głową miał dach,
Do Ciebie mi byłoby bliżej, niż stąd
I nic bym nie wiedział o łzach...
Ziemi garść z Mazowsza bym wziął,
Zboża łan dla Ciebie bym ściął,
Rosy dzban uzbierać-bym mógł
I nieść do Twej stajenki przed próg.
Z warszawską kolędą przed żłóbkiem bym stał
Lub z lwowskim uśmiechem mógł przyjść,
I serce wileńskie z odpustu bym dał,
I wianek krakowski ... A dziś...

Najmilsza Dziecino, coż dać-bym Ci mógł?
Czy łzy pogubione na skraju mych dróg?
Czy serca tęsknotę bezbrzeżną Ci dam?
Bo to mi zostało ... to wszystko ... co mam!

Feliks Konarski: Wigilia we Florencji

Zazdrościli mi ludzie, obcy – ale ludzie,
Że mam ubranie czyste, gdy oni tkwią w brudzie.
I, że mydłem się myję – trzeba czy nie trzeba.
Jem bułki, gdy im czasem brak czarnego chleba.
Zazdrościli mi ludzie, że mam buty całe,
Chociaż nogi w tych butach zmęczone, zbolące...
Że palę papierosy, że jadam konserwy,
Że dżem i czekoladę fasuję bez przerwy!
Zazdrościli mi ludzie i zazdroszczą jeszcze,
Że nie muszę jak oni uciekać przed deszczem,
Bo mam płaszcz, rękawiczki... I, że w ciepłym swetrze
Nie marznę tak, jak oni i nie drzę na wietrze...
Ot, zwykła ludzka zazdrość, uczucie najprostsze.
Ja też nie jestem inny i też im zazdroszczę
Jednej jedynej rzeczy, skrycie, pokryjomu...
Że w wieczór wigilijny są u siebie w domu!

Feliks Konarski: Polskie dziecko

Spotkałem polskie dziecko. W New Yorku. Przypadkiem. W parku.
Podeszło, żeby godzinę sprawdzić na moim zegarku.
Lat miało sześć. Może osiem. I oczy, jak dwa bławatki.
Chłopiec z Inianymi włosami. W obejściu miły i gładki.
Ślicznie uśmiechnął się do mnie, z fantazją stuknął obcasem:
„My name is Peter” – powiedział i dodał, jakby nawiasem:
„I’m Polish”. Specjalnie wybił, podkreślił ostatnie słowo.
Polak?... Więc mówmy po polsku. Milcząco zaprzeczył głową.
A potem spuścił oczy, wykręcił się na pięcie
I odszedł. Raz jeszcze za mną obejrzał się na zakręcie
I zniknął. A mnie na sercu zrobiło się jakoś smutno...
Tak jakoś przykro i dziwnie... Poczułem żalność okrutną.
Widocznie człowiek do szpiku przesiąkł tą polską naturą
I głupi polski sentyment wciąż gdzieś tam nosi pod skórą...
Coś, co uciska na serce. Coś przez co łzawią się oczy...
A chłopiec taki był miły i wprost, jak rzadko uroczy.

„I’m Polish” mu się wyrwało. Ot, losu złośliwość taka,
Że akurat na mnie trafił, na upartego Polaka,
Któremu żal się zrobiło jasnowłosego chłopczyka
Przez to, że nikt go nie chciał nauczyć tego języka.
Jakim od lat dziesiątek ojcowie jego mówili
W jego dalekim kraju. I nagle, w tej samej chwili
Przyszło mi na myśl dzieciństwo, moje chłopięce lata,
Ta moja młodość cudowna, beztroska, bujna, skrzydlata,
I tkliwie matki spojrzenie, gdym po skończonej wieczerzy
Powtarzał za nią półgłosem słowa wieczornych pacierzy...

Dziękuję Ci, moja matko, żeś mnie nauczyła tej mowy,
Która rosą się perli na wrzosowiskach o świcie...
Która wierzbnymi szumi, pachnie lasem sosnowym
I stokroć jest piękniejsza, niż moje tułaczne życie.
Która słowiczym trelem dźwięczy w majowe noce

Albo śpiewem skowronka ulatuje do nieba...
Która słońcem rozbłyska i gwiazdami migoce
I ma w sobie smak miodu i razowego chleba...
Która dźwięczy w klawiszach Szopenowskim mazurkiem
I hejnałem mariackim dni minione przyzywa,
A za młynem, za groblą, za zielonym pagórkiem

Pastuszkową fujarką smętne piosnki wygrywa...
Która mową Kościuszki była i Mickiewicza,
Z niej Dąbrowski się zrodził i Pułaski jenerał,
Co choć obce granice polską szablą wytyczał,
Lecz tą mową oddychał – dla tej mowy umierał.
A dziś ja, tak jak tamci – zakochany w tej mowie
Poprzez losu koleje świat przemierzam z nią razem.
I gdym nieraz bezradny stawał w drogi połowie
Ona mi przewodnikiem była i drogowskazem...
Wszędzie, wszędzie ją słyszę i odczuwam, i widzę,
Od dzieciństwa nade mną rozbłyskuje, jak tęcza.
A, że znam ją i kocham – a że jej się nie wstydzę,
Żeś mnie jej nauczyła – Tobie, matko, zawdzięczam.

Wrócił chłopiec i przerwał dziwny tok moich myśli.
Usiadł przy mnie na ławce. Wiatr nad głową nam szumił.
Opowiadać zacząłem o Warszawie... o Wiśle...
A on słuchał z przejęciem, choć niewiele rozumiał.
I przesiedział tak ze mną długo. Pewnie do zmroku.
Wstałem z ławki i rzekłem: „Czas nam iść, panie Piotrze...”
A on dojrzał widocznie głupią łzę w moim oku:
„Don't cry...” – szepnął, i dodał: „I am Polak...” – i odszedł.

Feliks Konarski: Są ludzie...

Są ludzie tak szczęśliwi, że o nic nie proszą...
Są nieba wciąż błękitne, które chmur nie noszą...
Są łądy nie znające zimy, ni jesieni...
Są rzeki, w których woda szmaragdem się mieni ...
Są drzewa, których zieleń staje się okrutna...
Są ptaki kolorowe, jak Tycjana płótna...
Są miasta wiecznie białe lub wiecznie złote
Skazane od powicia na słońca spiekotę!
I ja bym chciał już wreszcie spojrzeć raz do góry
I ujrzeć szare niebo, na nim szare chmury –
I z tych chmur, żeby deszczu szare krople błysły,
A tuż u stóp zmęczonych szare fale Wisły.
Szarym jesiennym rankiem iść przez Marszałkowską,
Pod szarym niebem usiąść ze swą szarą troską.
Znów znaleźć się, jak dawniej, w szarych wróbli tłumie
Ja – szary , prosty człowiek!...

A świat nie rozumie.

Feliks Konarski: Tylko tam

Wędrujesz po świecie
I patrzysz – czegoś ci brak.
I myślisz, że tam gdzieś
To wszystko wygląda nie tak.
Choć tutaj są ludzie
I domy, i słońce, i wiatr –
A jednak to wszystko,
To inny, odmienny jest świat.

Tylko tam
Słońce świeci inaczej niż tu.
Tylko tam
Słowik śpiewa piosenki do snu.
W jasną noc
Księżyc puka dyskretnie do bram.
Tylko tam każdy z nas
Nie był smutny i sam.
Tylko tam
Wiśła bije falami o brzeg.
Tylko tam
Są konwalie i śnieg,
Wiosna kwitnie jaśminem,
A jesień pachnąca jak kwiat.
Tylko tam
Jest twa młodość, twe szczęście, twój świat

W Łazienkach łabędzie
Są białe i biały jest bez.
Na Plantach wiewiórka
Dzieciarnię rozśmiesza do łez.
Park Stryjski rozbrzmiewa piosenką,
Znasz dobrze jej treść.
Na Górze Trzech Krzyży
Kukułka ukryła się gdzieś.

Tylko tu
Wszystko obce i inne, niż tam.
Tylko tu
W tłumie ludzi obijasz się sam.

Dzień po dniu
Mija wolno i dłuży się czas.
Tylko tutaj co noc
Myśli lecą do gwiazd.
Tylko tu
Tak ci żal dawnych lat, dawnych dni.
Tylko tu
Stale Polska się śni.
I powracasz w tym śnie
Do zburzonych kamienic i bram.
Tylko tu
Serca biją tak samo jak tam.

Feliks Konarski: Bajka o wróbelkach

Spotkały się dwa wróbelki,
Jeden mały – drugi wielki.
Nie za wielki – większy trochę.
Oba szare, oba płoche,
Oba były po śniadanku –
Siadły zatem na krużganku,
Bo wróbelek, gdy nie dziobie,
Lubi poplotkować sobie.
Ale z plotek nic nie wyszło,
Bo, gdy do ćwierkania przyszło,
Wówczas ten wróbelek mniejszy
Jako że był nietutejszy
Po angielsku nie rozumiał,
Bo po polsku ćwierkać umiał.
A ten większy też niemowa,
Bo po polsku ani słowa.
Więc skończyło się ćwierkanie,
które obaj mieli w planie.
Większy ćwierknął od niechcenia:
„Good bye” – mniejszy: „Do widzenia”.
I w dwie strony odleciały,
I ten większy i ten mały.

Prosty morał stąd wynika
Dla Polaka i Anglika:
Że dobrze umieć jest czasami
Ćwierkać dwoma językami.

Feliks Konarski: To takie jasne i proste

Fragment

To takie jasne i proste.
Takie zwyczajne – wiecie.
Różnych sposobów na szczęście
Szukacie po całym świecie.

Chodźcie jak w malignie,
Jak zahipnotyzowani...
A szczęście jest niedaleko –
W was samych, moi kochani!

Pan Bóg te wszystkie sprawy
Wyjaśnił wiele lat temu
Dokładnie i szczegółowo.
I wytłumaczył każdemu,

Że szczęścia nie trzeba szukać,
Że ono w sercu się mieści –
Nie w złocie i nie w pieniądzu,
Który banknotem szeleści.

To takie jasne i proste:
Bądź skromny, dobry, uczciwy!
Człowiekiem bądź – a zobaczysz
Jaki ty będziesz szczęśliwy!

Pan Bóg to dawno powiedział
Do wszystkich ludzi na świecie –
Tylko, że wy Pana Boga
Wciąż jakoś słuchać nie chcecie.

To takie jasne i proste
Takie zyczajne – wiecie.
Różnych sposobów na pokój
Szukacie po całym świecie.

I tu, i tam, i gdzie indziej
Milion pomysłów się rodzi!
Wciąż o pokoju mówicie –
A wciąż wam wojna wychodzi!

A Pan Bóg te wszystkie sprawy
Wyjaśnił dawno ludzkości:
Że pokój – pokój prawdziwy,
To tylko kwestia miłości!

To tylko „nie zabijaj”.
To tylko „kochaj bliźniego”.
I już masz pokój – sam w sobie.
Czy może być coś prostszego?

Feliks Konarski: Hosanna

Wielkanoc! Lśni wiosenne słońce
Ożywczym złocąc świat promieniem!
Zwycięstwo życia i radości
Nad śmiercią, smutkiem i zwątpieniem!

Święto miłości i pokoju,
Kiedy to człowiek stał się Bogiem,
Kreśląc znak krzyża w każdym sercu
I przed każdego domu progiem!

Hosanna! Nuć aniołowie!
Hosanna! Ptak w obłokach śpiewa!
Hosanna! Grają w polu dzwonki!
Hosanna ! Liściem szumią drzewa!

Miłość silniejsza ponad wszystko
I to, co smutkiem i żałobą
Do wczoraj było – dziś jest szczęściem
I odkupieniem. Pokój z tobą.

Feliks Konarski: Nie rozumiemy (Ninie)

Życie od wiatru szybciej leci,
Od rzeki szybciej płynie czas.
A my jak rozbrykane dzieci,
Które oślepił słońca blask.
I jakże często wśród kłopotów,
Radości i codziennych trosk –
Nie dostrzegamy tego szczęścia,
Które w podarunku dał nam los.

Nie rozumiemy wielu rzeczy,
Dopóki kogoś nie stracimy.
Dopiero wtedy doceniamy
Przeszłe jesienie, wiosny, zimy,
Gdy ktoś był przy nas ... obok nas
Nie rozumiemy słów najprostszych,
Spojrzeń rzucanych po kryjomu
Dopiero wtedy, gdy zabraknie
Czyjegoś szeptu w naszym domu,
Gdy ktoś był przy nas ... obok nas.

Mówią, że czas najlepszy lekarz –
Lecz ty już czasu mało masz.
I sam już nie wiesz, na co czekasz
I w którą stronę zwrócić twarz?
Bo jeśli nawet w przyszłość spojrzysz,
Pragnąc odnaleźć życia sens,
To zanim nowe szczęście dojrzysz,
Przeszłość wypływa łzą spod rzęs.

Nie rozumiemy wielu rzeczy
Dopóki ktoś nam nie ubędzie.
Wtedy minione wskrzesić chcemy
I tamtych dni szukamy wszędzie,
Gdy ktoś był przy nas ... obok nas.
Za powrót jednej z dawnych chwil
Oddalibyśmy skarby wszystkie
Dopiero wtedy, gdy zabraknie
Tej jednej twarzy-drogiej-bliskiej –
Gdy była przy nas ...obok nas.

Feliks Konarski: Refleksje

(Na 25-lecie bitwy o Monte Cassino)

Jaka prawdę wyczytasz
Z tych mogił stojących rzędem?
Czy bitwa ta była potrzebna?
Czy szaleństwo to było błędem?

Jaką mądrość wysnujesz
Z tych krzyży szeregów niemych,
Wśród których zamarły słowa:
„ Nie wszyscy – ale dojdziemy”.

Czy warto było pokotem
Kłaść się na zboczach i graniach?
I krew przelewać, gdy nikt już
Nie wierzył w „cud Zmartwychwstania”.

Gdy znikły resztki nadziei –
A w dali – z pod Teheranu
Ponury zgrzyt dolatywał
Nowych moskiewskich kajdanów?

Czy warto było? Kto dzisiaj
Na to pytanie odpowie?
Czy krzyże, które zostały
Jak wyrzut – na drogi połowie?

Czy pieśń sławiąca zwycięstwo,
Że „poszli, uparci, szaleni”?
Czy maki, które tu kwitną
Kolorem krwawej czerwieni?

Sa zawsze tacy szaleńcy,
Zdobiący Kossaków płótna.
Z pod Stoczka i z pod Racławic,
Z pod Westerplatte i Kutna!

Z pod Arnheim i z pod Tobruku,
Starówki i Mokotowa,
Po których w spadku zostaje
Legenda pozagrobowa.

Są zawsze tacy szaleńcy,
Spadkobiercy tej polskiej doli,
Którzy wolą umrzeć wolnymi,
Których śmierć wyzwala z niewoli!